Lwów, 17. Maja. (Nr 58. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ- po 1 ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział IX.

ZJAZD OBYWATELSKI.

(Ciąg dalszy.)

I kto wie, jakby się była skończyła ta niema między niemi scena, gdyby nagle nie ozwał się głos szambelana, który dotąd w ciemnym siedząc kącie, rozsądne zachowywał milczenie:

— Witołdzie! Witołdzie! chodź tu!

Witołd się zbliżył i z niemałem zadziwieniem ujrzał się porwanym w środek szlachty, podniesionym w górę, i wywołanym na dowódcę hufca, mającego się złączyć z wojskiem, skoro się to pokaże.

Nie wiedział sam co się stało z nim, i myślał prawdziwie, że to sen jaki. A tymczasem była to rzeczywistość, która się najnaturalniej wywinęła.

W czasie coraz hałaśliwszych debatów, nad wyborem przewódcy konfederacyi, szambelan pamiętny na przyszłość swego ulubieńca, zbliżył się do xiędza Godziemby, i zaczął z nim mówić po cichu.

Kanonik właśnie rozpaczał nad szczęśliwem zakończeniem tej najniebezpieczniejszej, bo osobistej kłótni, znając szlachtę i wiedząc z doświadczenia że jeden drugiemu nie ustąpi. Uwaga szambelana uderzyła go, zrozumiał bowiem od razu, że najlepiej poddać zwaśnionym nowe zupełnie nazwisko, nie budzące żadnej nienawiści, a godzące osobiste zazdrości.

Po kilku więc słowach przemówionych ze starym Wendą, gdy używszy w pomoc Niedankowskich, przyszedł do głosu, zawołał do uniesionej nieco szlachty:

— Panowie! chorąży Wenda nie mogąc dla wieku i słabości przyjąć na siebie dowództwo, ofiaruje wystawić hufiec zbrojny jak może być najliczniejszy, dając na konie broń, i na inne potrzeby dla każdego z osobna, i proponuje wam, dopokąd tym hufcem naczelny wódz wojska nie rozporządzi, na tymczasowego dowódcę z ramienia swego, przybranego syna pana szambelana Siarkowskiego, pana Witolda, młodzieńca pełnego zapału i najlepszych nadziei.

— Niech żyje nowy dowódca!.. zawołali wszyscy patrząc szyderczo jeden na drugiego.

I w ówczas to powołany nasz bohatyr, niespodziewając się tego zupełnie, ujrzał się zarazem na barkach szlachty, i dowódcą.

— Niech żyje Witołd! krzyczeli na wyścigi.

Szambelan i kanonik uściskali młodzieńca, a stary chorąży pobłogosławił go starą i drzącą ręką, i sam mu własną przypasał karabelę.

A z boku brygadier patrzał na niego zjadliwym wzrokiem.....

— Ta twarz!.. ta twarz!.. mruczał sam do siebie.

Na tem się skończył zjazd, że ledwie czwarta część zgromadzonej szlachty, spiwszy się na waletę należycie, zaprzysięgła stanąć w szeregi nowego hufca, a wychyliwszy co jeszcze zostało, rozstali się wszyscy do domów swoich aby się zbroić i przygotowywać.

— Pal go diabli! spiewał odjeżdżając podchmielony podsędek Galkiewicz. Co za zuchy, co za śmiałki, póki zalane pałki! Jak się wytrzeźwisz bracie, najbezpieczniej siedzieć w chacie!...

— Co to za szlachecki rozum! medytował podkomorzy na bryce; żeby sto djabłów zjedli, wszyscy majętniejsi wykpili się, a hołota naprzód. Niezawadzi zawsze dojechać z wiadomościami do głównej kwatery.

Stary Wenda patrzał smutnie za odjeżdzającymi.

— Mnie staremu do groby już. Inny wiek, inni ludzie, wyrzekł biedny chorąży.

Rozdział X.

ZARĘCZYNY.

W zamku Słobodeckim panował ruch ogromny, od dnia do dnia robiono przygotowania na przyjęcie głównego sztabu wojska polskiego, które tędy miało przechodzić.

Kto by był w tej chwili widział panią Wolińskę, zdziwilby się nad jej wzruszeniem gwałtownem, jakie się malowało na jej twarzy, i w każdem niemal poruszeniu, lecz z łatwością niezgadłby, jest li to wzruszenie wesołego czy smutnego rodzaju. Pani Wolińska jak wszystkie zwykle kobiety, tkliwem obdarzone uczuciem, każde większe wrażenie witała rozczuleniem. To też wydając rozkazy z

największą przytomnością jako gospodyni domu, stawała nieraz nagle, jakby jej tchu brakowało, i łzy zaiskrzyły się w pięknych oczach, a na ustach zakwitał uśmiech tak słodki, tak powabny, iż się zdawał być przypomnieniem lat młodszych.

W czasie tych przygotowań, zdybała się nieraz z mężem, który chociaż się niczem nie zajmował, łaził jak ćma po zamku krokiem to powolnym, to przyspieszonym zdradzającym wewnętrzny niespokój. I rzecz dziwna przy każdym zdybaniu pani Wolińska, która od ostatniej z mężem rozmowy, drzała ze strachu na widok jego, tym razem spoglądała na niego z wyrazem zupełnie spokojnym, w którym jeżeli się nie wiele przebijało dla niego współczucia, był przecież niejaki litości odcień.

Przeciwnie zaś brygadier zdybawszy żonę, nie mógł utaić jakiegoś mimowolnego wzdrygnienia; z dziwnym wyrazem bojaźni i nienawiści spoglądał na nią, otwierał usta, jakby co chciał przemówić, spuszczał oczy i uciekał.

Raz przecie zatrzymała go pani Wolińska.

— Może by dobrze było wyjechać naprzeciwko.... zagadła.

— Naprzeciwko!... kogo?.. wrzasnął brygadier, a oczy jego łyskały jadem.

— Naprzeciwko ziomków naszych, dodała pani Wolińska ciszej..

— Ażeby mi potem rząd zabrał resztę majątku!.. nie głupim bawić się w patryotyzm.

— Cóż w tem złego jeżeli przyjmujemy:.

— Przyjmuj sobie! przyjmuj pani! wiem że masz do tego ochoty nie mało... Jabym nawet wyjechał.. gdyby nie...

— Gdyby nie?.. spytała żona...

— Nie to!.. odrzekł brygadier, niech przybędą a później zobaczymy!.. dodał, i szybkim krokiem wybiegł z pokoju.

Pani Wolińska patrzała za nim z rodzajem niepokoju, lecz ten wnet ustał, spędzony owym słodkim uśmiechem.

— Nie!.. nie!.. już się teraz nie boję! mówiła do siebie.

W czasie tych wszystkich przygotowań, gdzież była nasza bohatyrka? Mówiliśmy już opisując stary zamek w Słobódce, że za ogrodem, ciasnym tylko wody przesmykiem odłączony był śliczny gaik z brzóz i olszyny złożony, który był najpiękniejszą częścią ogrodu. Przerznięty ścieszkami przez samą przyrodę obdarzony kląbami, które sztuka ubrała tu i owdzie w całe kwiatów bogactwo, ślicznie wyglądał ten gaik w tej najcudniejszej porze roku, przechodu wiosny w lato; w porze najświeższej zieloności, najmilszych woni, i najdźwięczniejszych pieśni słowiczych.

Na jednym gaju tego boku, nad brzegiem wody stała darniowa ławka, ocieniona dwoma ogromnemi brzozami, której zielone warkocze schylały się aż ku ziemi, i wodzie. Najpiękniejsze to było w całym gaju miejsce, bo oddzielone gęstym klombem zakrywającym zamek i wieś, zdawało się być samotnem zupełnie, i tylko widać było czystą wodę przed sobą, a za nią coraz dalej i dalej zieleniejące się niwy, przerznięte tu i owdzie starem drzewem przez wiek pochylonem, wysłannikiem niedalekiego boru, czyli raczej pozostałością; dalej młodszą sadów zielonością otoczone futorki i pasieki, a na samym krańcu ciemna boru ściana odrysowana kapryśnie na jasnem tle nieba. Był to widok pełny tego cichego, smutnego, marzeń roje rodzącego uroku, jaki wywierają okolice poliskie.

Na tej ławeczce siedziała Antosia, śliczna jak ta wiosna co ją otacza kwieciem mniej powabnem od jej młodej twarzyczki, jaśniejącej w tej chwili, całą tęczą uczuć wydobywających się z głębi duszy, które są barwami serca. I jakże miało być inaczej, kiedy u jej stóp klęczał Witołd z oczami ku niej wzniesionemi, pełnemi szczerego uwielbienia.

Trzeba być młodym, trzeba kochać tą pierwszą miłością czystą, nie pokalaną późniejszemi doświadczeniami, by pojąć tę wyższą rozkosz, jakiej doznają kochankowie, patrząc w siebie oko w oko. Żaden język najwznioślejszy pełen poezyi, nie zdoła oddać tych uroczych myśli i marzeń jakie oni udzielają sobie wzrokiem, i choć nic nie mówią do siebie, oni się rozumieją doskonale, bo co nie odda spojrzenie, co nio wyrazi uśmiech, to im wyśpiewa westchnienie nie to westchnienie lat późniejszych, ciężkie bolesne, ale owo wiosenne na poły miłośne i nabożne... Raz się tylko jest w raju, i już się więcej do niego nie wraca... chyba wspomnieniem, które ci piersi zdusi kurczowym bolem!. Młodości z swemi uczuciami i myślami, ty jesteś owym rajem cudownym, uroczym, któremu żadna wyobraźnia nie sprosta, rajem utraconym, którego czarownej świeżości żadna najtęskniejsza myśl wskrzesić nie zdoła.

Taką to chwilę szczęścia, chwilę rajską, chwilę nieba przeżyli nasi kochankowie. A przecież było to pożegnanie. Jutro, dziś może jeszcze Witold wyruszy w pole, skoro go tylko szambelan przedstawi polskim jenerałom. Ale ta godzina w której żyją jest ich własna, ta godzina dla ludzi młodych i kochających się, to nieprzebrane morze chwil rozkoszy i użycia. A nadzieja! kto dziś z nas starych przypomni sobie, kto zrozumie co to jest nadzieja w wiośnie życia, w wiośnie uczuć!..

Nadzieja jak słońce coraz większe, coraz jaśniejsze póki idzie ku południowi życia, rozlewa na wszystkie przedmioty swe najświetniejsze barwy, bez cienia!.. Cienie przychodzą dopiero, przeciągają się i przedłużają przez cały widnokrąg, gdy się słońce do zachodu spuszczać zaczyna.

Witołd i Antosia byli młodzi, kochali się, wierzyli w

przyszłość, uniesieni na skrzydłach wyobraźni i nadziei byli więc szczęśliwemi; choć się zbliżała chwila rozstania.

Wojna w którą miał iść Witołd, wyglądała im jakby jakaś pyszna epopeja, pełna wzniosłych piękności, której oni mieli być bohatyrami. O ileż piękniejszą musiała się im wydać ta narodowa opozycja! I jeżeli dla celów tak wzniosłych oni mają poświęcić kilka chwil szczęścia własnego, nie jestże to dla nich źródło nowego szlachetniejszego uczucia. Bo młody, jak we wszystko wierzy, tak się też chętnie poświęca; stary tylko niczemu już nie ufa, i wszystko rachuje.

— Wrócę! wrócę wnet!.. moja Antosiu najdroższa! wołał Witołd, porywając ją za ręce i cisnąc do bijącego serca, w którem ledwie się pomieścić mogła ta cała rozkosz pierwszego kochania.

— Wrócisz! mój Witołdzie! wierzę ci!.. bo ja ciebie kocham, odrzekła Antosia i usta złożyła na czoło jego.

— Kochasz mnie!.. a jaż ciebie!..

— Kocham.. kocham! powtarzali oboje...

Jakże zimnym, nudnym, zwykłym wydać się musi ludziom czuć odwykłym taki dialog monotonny. Wierzę chętnie!.. A tymczasem dialogi miłośne, jeżeli są prawdziwie miłośne, są wszystkie tak suche, i skąpe w słowa. Ale któż obojętny zrozumie bogactwo wyrazów w tym jednem słowie k o c h a m, które jest owym w bajkach używanym talizmanem słownym, którego wyrzeczenie stwarza czarodziejskie cuda. I te cuda widzą zaprawdę kochankowie, widzą przed sobą w całej świetności. Nacóż im więcej słów tracić!.

— I wrócę zwycięzcą! mówił dalej młodzieniec.

— Będziemy mój drogi pierwszą parą państwa młodych po szczęśliwej wojnie.

— Ty moju Antosiu włożysz na skronie moje..

— Wieniec laurowy!..

W tej chwili cień jakiś przemknął się przez piękną jej twarz, spojrzała na dawną bliznę Witolda, serdecznie ją ucałowała, a ku Bogu wysłała westchnienie pobożne i gorące, aby ta blizna ostatnim dla kochanka była wieńcem cierniowym.

— Ta blizna, rzekła z przesądnem, ludziom młodym tak właściwem uczuciem; ta blizna zabezpiecza cię już od innych ran. Co było złego już przebyłeś!.

O bo miłość i młodość jest szczególnym optymistą. Szkoda tylko, że jedna i druga tak krótko trwają, jak krótko trwa pierwszy pączek kwiatu... gdy się rozwinie, już się wylęgnie robak w jego kielichu; ten robak, to jest owe pessymistyczne odczarowanie, pod którego władzą wleczemy się dalej... do grobu!..

— A choćbym był ranny!..

— Nie Witołdzie!.. ja tego niechcę...

— Ty będziesz mnie leczyć!.. twoja luba ręka uzdrowi mnie!..

— Czemu ja nie mężczyzna! zawołała nagle Antosia, jabym z tobą poszła do boju... i zasłoniła cię moją piersią.

— Ty mężczyzną! odpowiedział najnaiwniej nasz bohatyr.

O dzieci, szczęśliwe dzieci! z waszem nierozmyślnem szczebiotaniem. (D. c. n.)

LIRNIK

[Ustęp z większego poematu]

Pomnę, dzieckiem jeszcze byłem,
Zaszedł nieraz stary dziad
W rade progi naszych chat.
Starowina z licem miłem
Jakby ojciec; jego znali,
Czcili wszyscy, bo on witał,
O urodzaj, harazd pytał,
Spoczął dzień, dwa, i znów dalej.

Biały kaftan, kostur w ręku,
Pies za nogą, lira w łęku,
Jak Mikołaj święty z brodą
A źrenicą zawsze młodą
Nachylony szedł powoli
Jakby szukał dawnej doli,
Co uciekła gdzieś wodami,
Co rozniósła się wiatrami,
A wspomnieniem jeszcze mami.
Ot dziad stary.

Lecz bywało
Kiedy lirę wzniósł, nastroił,
Wzrok w ubiegły wiek zawrócił,
Z lat wspomnieniem się oswoił,
Dawną dumę drząc zanucił,
To wzniósł czoło, że jaśniało,
Niby zorza — dawną chwałą.
I nie dźwięki, to łzy ciekły,
To nie duma, lecz wichr wściekły,
A głos łabędź, albo burza,
Co się w morza, stepy nurza,
Gdzie Kozactwo szło za młodu
W mściwy bój do Carów grodu.
Wtedy piorun bił mu z twarzy,
A śpiew duch, wiatr niewstrzymany,
Co unosi chmur bałwany!

Pomnę, drzeli, bledli starzy,
A my dziatwa jak pisklęta
Za ich poły się chowali.
Bo na oczy'śmy widzieli,
Jak z bezdennej morza fali,

Z ciemnic Kremlu, z nór kurhanów
Pieśnią jego mknie wyklęta
Cień mołojców, atamanów,
W pokrwawionej zdradą bieli.—
To znów król swe dzieci woła,
Szumi sztandar Archanioła.
Jęczą dzwony, płaczą wdowy,
Furczą spisy, lecą głowy,
Śród kurzawy, błysku dymu,
Biegą hordy Wołgi, Krymu,
A w trop grzmi im *hurraha!*
Boh, Sicz, korol, na wraha!!

Tak o dawnych prawił dziejach,
Lecz gdy chciał co w nowy świat
Zagrać, może o nadziejach,
Spojrzał w koło, zmarszczył czoło,
Ręką, głową niewesoło
Machnął, struny ledwo jękły,
Już zmilczały, jakby pękły,
A sam śpiewak drżał i bladł,
Śpiew na ustach mu się rwał,
Jakby zwątpił, lub się bał.

Mija lato, mija zima
Jedna druga, dziada niema.
Może poszedł w Ukrainę,
Bo już tęsknił w stepy sine,
Gdzie z ostatnim atamanem,
Hulał, biedził, spał, wojował
Nim w Dobruczy [1]) go pochował.

Aby pod tym lędz kurhanem,
Gdzie połamał ojców zbroję,
Skąd z Kozaka stał śpiewakiem,
Poszedł w obcy świat burłakiem, [2])
Przyodziawszy dziada stroje.
— Tam on! mówił — ziemia święta,
Choć niewolą dziś przeklęta,
Tam on leży zastęp bratni,
Nim na świadka go zawoła
Głos naszego archanioła,
Tam ja Kozak lgnę ostatni.

W wiosce raz na końcu sioła
Gwar i rozruch, lira brzęczy,
Głos jakiegoś starca dźwięczy,
Hurma dziatwy do okoła,
Z chat wybiega w tłum gromada,
Jak na pierwszą wiosnę pszczoły,
Gdy na biały kwiat rój siada.

To on! Schylon szedł powoli,
Jakby szukał dawnej doli,
To się w koło wita, kłania,
Dziatwa ima ręce, poły,
On całuje, to ogania,
I szczęśliwy się obziera,
Aż nareszcie zmilkła lira,
I ramiona wzniósł do nieba,
By Bóg szczęścia dał i chleba.

Co go proszą aby wstąpił,
Przyjął czego Bóg nieskąpił,
Pszonną [3]) kaszę, a na mleku
Kilka wrzących czasz krupniku, [4])
I na miękkiem świeżem sianie
W izbie będzie miał posłanie,
(Lirnik Kozak, chociaż stary,
Klął na puchy, jak na czary)
On za łaskę podziękował,
W naszym domu wciąż nocował,
Bo od dawnych gdzieś tam lat,
Znał i lubił go mój dziad.

Po nad naszą strzechą stała
Wielka grusza, matka sadu,
Choć na wiosnę, cała biała,
Owoc nie źrał, lecz z niej miodu
Dla całego ulów rodu.
Wstawszy z przyzby od obiadu
Tam siadali jak w chłodniku
Oba starcy przy krupniku,
Jak gołębie. — Gadu, gadu,
Słowo zbiega im po słowie,
I godzina po godzinie
O Humaniu, Poczajowie,
O Dobrucszy, Ukrainie,
Barze, Moskwie, Carogrodzie,
Czarnym szlachu, Krasnym brodzie,
Morzu, piaskach, puszczy, stepie,
Sawie, Marku i Mazeppie,
Rusi, Turkach, Moskwie, Lachach,
Bojach, koniach, zdradzie, strachach,
A Waszeci a Mospanie,
To ponuro, to wesoło,
Że nam malcom na około
Dziwu, strachu, łez nie stanie,

[1]) Resztki Zaporożców, niechcąc pojść w osiedlenia czarnomorskie poszli do Dobruczy,
[2]) **Burłak** tułacz.

[3]) **pszonna** kasza t. j. jaglana.
[4]) **Krupnik.** wódka z miodem gotowana.

Póki kur aż z całej mocy
Niedał wieści o północy.

Zabrzmiał jeno gdzieś brzęk muszy,
Klekot zdroju, szelest gruszy,
Lśnił pogodą błękit siny,
Jako stepy Ukrainy,
Złote gwiazdki tlą w błękicie,
Jak wspomnieniem piękne życie,
Wóz się zwrócił o ćwierć nieba,
Kwoczka dziatwę już gromadzi,
Więc od dawna spocząć trzebał
Sołtysowi i czeladzi.
Oba starzy wznieśli lica
W usmiechniętą twarz księżyca,
Coś westchneli, a po chwili
Głowy k' piersiom pokłonili,
I dumali ot tak sobie.

(D. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

III.

Przejażdżka do cioci.

Było to w sierpniu, kiedy wszystko co żyje na wieś wyjechało, kiedy nawet nie można w teatrze wieczora przepędzić, bo towarzystwo polskich aktorów niepowróciło jeszcze z jarmarku tarnopolskiego, kiedy na wałach prócz osób należących do inwentarza lwowskiego i niezliczonego mnóstwa żydówek nikogo spostrzedz nie można, było to mówię w tym najnudniejszym miesiącu dla Lwowa, kiedy jednostajne przechadzki do Pohulanki, ś. Zofii lub Kisielki albo też wysokiego zamku z swemi włóczącemi się arfistkami, butterszníttami, kwarglami i plucerami nie wiele rozrywki przynoszą.

Właśnie z jednej podobnych przechadzek powróciwszy, ziewając przemyślałem jakby czas zapełnić. Wtem wszedł Adolf mój przyjaciel i towarzysz szkolny. Po szczerem przywitaniu (bo Adolf dopiero co ze wsi powrócił) zapaliwszy fajki, zgadaliśmy się o nudach lwowskich. Adolf się zadumał, nakoniec uradowany jakby odkryciem Ameryki rzekł:

— Wiesz co mi przyszło na myśl? Wybornie! pojedziesz ze mną do ciotki.

— Ależ ja jej nie znam, odrzekłem.

— Nic nie szkodzi. Ona tak rada gościom, wierz mi doskonale się zabawimy.

W takiem świetle wystawił mi dom jenerałowej B... tak usilnie mnie prosił, że dałem słowo nazajutrz z nim jechania.

Minąwszy grodecką rogatkę, odetchnąłem powietrzem wsi, czystem, łagodnem. Parę godzin prędkiej jazdy, widok łanów okrytych złocistym kłosem, śpiew ptaszków i żniwiarzy wybiły z mej pamięci nudy lwowskie, z mego nosa zapachy Zarwanicy i Pełtwy, z mych uszów krzykliwy pisk preclarzy i równie harmonijną muzykę, której codzień w traktyerni pod gruszką w czasie obiadu słuchać musiałem.

Oddany milszym wrażeniom, rad byłem memu wyjazdowi.

Dom ciotki Adolfa istotnie wesołym sobie wystawiałem. Adolf tak często w nim bywał, Adolf tak wesoły, przecież nudzić się tam nie jeździł.

— Ale, ale Adolfie, gdzież my na obiad staniemy?

— Ależ zajedziemy do cioci.

— Jak to, więc to już nie daleko?

— Pięć mil, odrzekł Adolf, ciocia jada o 2, teraz 10. w sam czas przyjedziemy.

Niepodobała się ta odpowiedź ani mnie ani memu żołądkowi, który na widok dobrej pieczeni niebył nieczułym i tak już w jakiejś części spadłem z mego wiejskiego nieba.

— Powiedz mi Adolfie, dlaczego ty co zawsze tak przeciw wsi mówisz, co dnia nieopuścisz byś niebył w teatrze, co tyle upodobania w towarzyskiem życiu znajdujesz, tak często ciotkę odwiedzasz?

— Tempora mutantur et nos mutamur. Teraz zasmakowałem w życiu wiejskiem. A zresztą przyznam ci się, ciocia ma córkę, aniola dobroci, ja ją kocham szalenie, lecz ciocia między nami mówiąc jest trochę dziwaczką, ona o tem wiedzieć niepowinnna, dopóki nieotrzymam słowa Emilii. Dziś ciocia by to może źle widziała, wiesz że miłość nie lubi więzów, niecierpi względów, które świat modny etykietą zowie.

I tu Adolf zanucił „Serce nie sługa, nie zna co to pany...”

— Ale, ale, grywasz ty taroka?

— Czasem, alboż co?

— Ej nic, moja ciotka lubi passjami taroka.

— Że ty lubisz dom ciotki, teraz się nie dziwię, ale dlaczegoż ja mam grać taroka? Wszak na wsi są i inne zabawy!

— Ale już dobrze, dobrze, będziesz robił co ci się podoba, wszak wiesz że życie na wsi oddycha wolnością. Zresztą dom mojej ciotki nastręczy ci tyle rozrywek, znajdziesz tam towarzystwo ludzi uczonych, myśliwych, dowcipnych, słowem wybornie ci czas zejdzie.

Uwierzyłem tym słowom i rad byłem gdy mi nakoniec Adolf pokazał dom jenerałowej. Wreszcie stanęliśmy pod bramą, która zamykała oparkaniony dziedziniec. Po długiem pukaniu otworzył nam barczysty parobek i szczęście że nam przybył na pomoc, bo ogromny brytan o mało na nas się nie rzucił.

Wyznaję że ten parkan, ten kudłaty Cerber, i bosy odźwierny nie wielkie wyobrażenie mi robił o wesołości mieszkańców, a Adolf mnie dobił, gdy dowiedziawszy się że

państwo przy obiedzie, wyprowadził mnie z dziedzińca mówiąc że nie wypada przerywać cioci obiadu. I tożto miała być wolność życia wiejskiego! Toż ten dom bez ceremonii! Z miną na pół kwaśną na pół znudzoną zapytałem Adolfa gdzie mnie prowadzi?

— Do oberzy, tu jest traktjernia wyborna, posilimy się a potem przyjdziemy do cioci.

Oberza była przy gościńcu, a jej powierzchowność nie wiele obiecywała. Nad drzwiami wprawdzie wisiała tablica z dużym napisem *Traktyernia*. To mi dodało otuchy. Lecz okna powybijane, dach pół dachówką pół słomą przykryty, znowu mnie jej pozbawiły. Weszliśmy do izby gościnnej po prostu szynkowej. Było tam kilku żydów, było i Rusinów co wyziewem wódki i bakonu atmosferę traktyerni nie najprzyjemniej zgęszczali. Gospodyni w czepku z czerwonemi wstążkami, w świątecznej sukni, okryta fartuchem z popielatego od brudu płotna zabierała się jak najprędzej nam usłużyć i zawoławszy brudnej jak sadza kucharki, wydała potrzebne rozkazy. Rozpalono na angielskiej kuchni, która w tej samej izbie postawiona była, a tymczasem nakryto do stołu. Kto jadł w podobnych niestety powszechnych traktyerniach w Galicyi, łatwo pojmie, że widok tych przygotowań odjął mi pół apetytu. Wyziewy z gorącej kuchni, niezliczone mnóstwo much i komarów na nosie siadających. nakrycie stołu złożone z kawałka obrusa, na którym tyle plam ile nitek byś policzył, noże i widelce zardzewiałe tak są powszechne, że ich opisy byłyby zbyteczne. Jakież musiało być w tej traktyerni jedzenie? Rosół z makaronem zażółcony szafranem i pozłocony łojem, i sznycel z kartoflami, które swą czarną cerą pobrudził, składały nasz obiad. Po obiedzie wróciliśmy do dworu, znów wrota zamknięte, znów ów Cerber zagraża naszej całości.

— Czy już państwo po obiedzie?

— Już państwo kawę pije, odrzekł bosy odźwierny.

— A to zaczekamy.

— Czyś oszalał mój Adolfie, dlatego że tam ktoś kawę pije, ja się mam z brytanami szamotać? Rób co chcesz ja wchodzę.

Przynaglony mojem stanowczem przedsięwzięciem, Adolf nareszcie wszedł ze mną do przedpokoju, w którem nas spotkał służący, wynoszący filiżanki z tej kawy, co tyle strachu Adolfowi napędziła.

— A chwała Bogu teraz nam nic nie przeszkodzi, rzekł Adolf i wprowadził mnie do bawialnego pokoju jenerałowej.

Pani jenerałowa siedziała w dużem poręczowem krześle. Na jej kolanach spoczywał piesek, który obcesem na mnie się rzucił. Jego głos przebudził szpicla spoczywającego pod piecem i oba ich głosy złączone niedozwoliły wyraźnie Adolfowi przedstawić mnie swojej ciotce.

Po zwykłych zapytaniach i odpowiedziach na tema pogody, drogi i deszczu, szanowna jenerałowa twierdząc że już póżno do ogrodu, zaproponowała swego ulubionego taroka. Wniesiono stolik i karty. Jenerałowa, xiądz proboszcz, jenerałowicz i ja zasiedliśmy do gry. Adolf z Emilią pod oknem rozmawiali.

— Jakże to dobrze że pan wyręczy Adolfa, on tak nieuważny przy grze, zawsze go łajać muszę.

Tu dopiero poznałem myśl Adolfa, tak usilnie mnie do ciotki zapraszającego. Więc to abym mu ułatwił rozmowę z Emilią, byłem mu potrzebny! Ale poczekaj niedobry Adolfie, niedługo ja tu popasać będę, bo przecież lepiej choćby w najnudniejszym Lwowie jak tu przy taroku po 10 za grajcar w walucie.

Proszę sobie wystawić trzy godziny takiej gry i potem osądzić jak w myśli błogosławiłem Adolfa. Xiądz proboszcz i pani jenerałowa najbardziej grą byli zajęci. Xiądz nic prócz toutes les trois, pagat ultimo, dwójka lub trójka nie mówił, czasem zajrzał sąsiadowi w karty, to znów biorąc szkart podejrzał zostające karty, i to były jedyne znaki jego życia i dowcipu.

Jenerałowa tabakę zażywając i nos ciągle ucierając w chustkę białą, która już barwy kawowej nabyła, gderała na jenerałowicza, gdy ten zamiast króla damę odrzucił; on nic nieodpowiedział bo był pod znakiem zapytania, nieszczęściem bowiem miał słuch przytępiony. Ustawiczne he? co pan dobrodziej mówisz? acha rozumiem! i t. p. mile mi w uszach brzęczały. A tej przyjemności dodawał ciągle powabu faworyt jejmości, co z jej kolan ciągle to na stół to na kanapę przechodził.

— Leżyć Trimciu! Fuj leżeć na poduszkę! przemawiała ciągle jenerałowa a kochany Trimcio warczał i kąsał wtedy Muszkę co grzeczniejsza od niego, tylko czasami do zażycia tabaki mnie przymuszała.

Te trzy jak trzy dni długie godziny przerwała wieczerza. Nie mogę zaprzeczyć że jej nadzieja po obiedzie w traktyerni utrzymywała mnie przy siłach. Lecz gdy kaszka na mleku i kluseczki z serem ją składały, nie chciałem po jej skończeniu do gry zasiadać i składając na ból głowy pożegnałem mnie tak miłe towarzystwo.

Umieszczono mnie razem z Adolfem. On jeszcze długo nieprzychodził. Ale czemuż się dziwić? On w miejscu taroka dziś wieczór tak mile przepędził. Dlatego śmiał się tylko gdy czyniłem mu wyrzuty że mnie tutaj wywiózł i zapewnił że jutro zapewne ktoś z gości przyjedzie, bo to było święto i że pewnie lepiej dzień przepędzę.

Nazajutrz wstawszy ujrzałem przez okno słońce dopiero wstające. Wesoły śpiew ptaków zapowiadał dzień pogodny. Przed oczami rozwijał mi się widok rzeki, której brzegi umajone drzewami i okryte kwieciem zdala do siebie wabiły. Ubrałem się spiesznie bo chciałem skosztować tej świeżości rannej, której tylko na wsi użyć można, i za którą każden mieszkaniec miasta tak tęskni. Wychodzę do sieni, drzwi zamknięte, cóż to znaczy? Chodzę po całym domu, wszystko uśpione, znalazłem zaspanego lokaja a gdym go

o przyczynę zamknięcia drzwi pytał, odpowiedział że pani jenerałowa tak się złodziei obawia iż nietylko drzwi każe zamykać, ale klucz trzyma pod swoją poduszką. A to już rzecz niesłychana! Więc ja po to na wieś przyjechałem, abym grał w taroka lub słuchał chrapania Adolfa! Powróciłem zły do stancyi i przebudziwszy Adolfa prawie z rozpaczą mu swój żal wylałem.

— No, no daj pokój, wiem ja na to sposób; wstanę i pójdziemy razem.

I istotnie ubrał się, skoczył przez okno i kazał mi iść za sobą. Dziwnym mi był ten sposób używania na wsi powietrza, lecz cóż było robić? Skoczyłem za nim i odetchnąłem miłą, czarodziejską wonią, bo okno wychodziło na ogród, zakwitły w róże i resedy. Jak dziecko biegałem od jednego do drugiego krzaka, zapomniałem o taroku i nudach wczorajszych. Ale nie długo ta przyjemność trwała, bo Adolf zawołał:

— Dla Boga co tobisz! Coby to ciocia na to powiedziała!

— Cóż takiego?

— A niech Bóg broni, chodzisz po trawniku, a to u cioci wzbronione! Od tego są ścieżki i ulice.

— Przyznam ci się że twoja ciotka jest najnudniejszam stworzeniem pod słońcem. U niej bo nic nie wolno, tylko kichać po Trimciu i Muszce i przez okno łazić.

— No cóż robić? Wiek ma swoje prawa, ale za to ręczę że to najszanowniejsza kobieta.

— Dla tych, co się w jej córce kochają. (C. d. n.)

Koncert gal. Towarzystwa muzycznego

(dnia 13 Maja o godzinie 12. w południe.)

Koncert ten wypadł bardzo świetnie. Tak co do wyboru sztuk jak i wykonania nie możemy jak tylko pochwalne nieść słowa. Przejdźmy program koncertu. Rozpoczęto go Symfonią na orkiestrę kompozycyi Ludwika von Beethovena (z F. dur. część pierwsza.) Już samo imie „Beethoven" dostateczną jest rękojmią doskonałości utworu; wszystko co wyszło z pod pióra tego mistrzamistrzow jest piękne i szczytne; w Symfoniach szczególniej stał on się nie porównany. Wprowadzanie dzieł takich przynosi zaszyt Towarzystwu muzycznemu, w wykonaniu bowiem są one nadzwyczaj trudne; trzeba dobrze że tak powiemy wgrać się w muzykę klassyczną, ażeby kompozycye Beethovena z właściwem oddać życiem i wdziękiem. Rzeczona symfonia w ogóle szła gładko, możnaby w prawdzie żądać więcej odcieni w partyach melodyjnych, więcej ognia i siły w całym rozwoju, atoli z drugiej strony należy znowu oddać tę sprawiedliwość, że członkowie powstałego od roku dopiero towarzystwa muzycznego po kilkunastu zaledwie koncertach nie mogą jeszcze odpowiedzieć wszelkim wymaganiom sztuki. Dążność ku temu, już wiele znaczy, wszak „paulatim summa petuntur" (pomału dosięga się szczytu.) Następnie wykonali uczennice ze szkoły spiewu Towarzystwa muzycznego chór na głosy sopranowe i altowe z towarzyszeniem orkiestry, kompozycyi Karola Haslingera.

Poznaliśmy jeszcze drugą kantatę tegoż kompozytora na głosy pojedyncze i choralne z akompaniamentem orkiestry, odspiewaną przez uczniów i wielu członków towarzystwa. Utwory p. Haslingera celują spiewnością oraz efektowem i starannem obrobieniem. Prowadzenie tematu z sopranów na alt, to znowu wzajemne podchwytywanie tegoż zgrabnie i wdzięcznie ułożone.

„Allegro marciale" drugiej kantaty silne, wspaniałe a kościelny chór głosow męskich w części średniej (Zwischensatz) niespodzianie wmieszany, dramatyczny sprawia efekt, jakby modły dziękczynne po zwycięskiej walce. Tak jeden jak drugi chór doskonale był wykonany, intonacya czysta, równa, modulacye jasno, okrągło przeprowadzone, w całości znać było staranność i wypracowanie chlubę nauczycielom niosące. Jeżeli zaś muzyka pieściła ucho, niemniej przyjemnym i dla oka był widok kilkunastu dziewic z grona naszego, leciuchno ubranych, jakby wieniec z kwiatów rozsnuty.

Pośrodku tych sztuk odegrała na fortepianie panna Mahl z wielką biegłością, trudne i niemałej wprawy wymagające waryacye F. Chopina, dalej: Romance-Etude i Divertissement á la Mazurka kompozycyi J. Milana. Romance-Etude szczególnie pięknie była oddaną. Pan Biegl tenorzysta odspiewał pieśń do snu (Schlummer-lied) z opery «Niema z Portici» D. Aubera. Pan Biegl jest skończonym artystą w swoim zawodzie, głos nieco już słaby, lecz rzewny, miły i znacznej dosyć objętości. Przejście z głosu fistułowego w głos piersiowy wcale przyjemne. Młody amator p. Alfons Borowski wykonał na flecie wielką fantazyą na temata z opery „Córka pułku" kompozycyi Juliusza Briccialdi. Poznajemy w nim nie zwykły talent i wiele wprawy, z wielką łatwością pokonuje nieprzeliczone trudności, a niższe tony, u fletu często chrypliwe, wydobywa czysto i pieściwie. Dowód że instrument posiada w swej mocy.

Nakoniec odegrał p. J. Wollmann professor tutejszej szkoły muzycznej Adagio na wiolonczelę F. A. Kummera; gra jego prawdziwie mistrzowska, posiada uczucie i deklamacją, ton pewny, silny a przytem pełen tej wiolonczeli właściwej rzewności. Niemożemy pominąć także dwóch pieśni: jedną Pasterza pieśń Zimową (Konr. Kreutzera) drugą Pielgrzyma pieśń wieczorna (Fr. Kückena) oddane wybornie w podwójnym kwartecie na głosy mezkie. Również wspomnieć musimy o wybornym akompaniamencie na fortepianie do spiewu i fletu, wykonywanym z wielką znajomością rzeczy przez pana Konopaska. W ostatnich koncertach mieliśmy sposobność słyszeć, o ile to fałszywym, to z jednostajną siłą, czy spiew lub gra szła forte czy piano, wykonywany wtór fortepianów psuł wydatności muzyczne. Tem ci więcej uderzyło nas artystyczne zastosowywanie gry w wtórze do prymu.

Koncertem dyrygował P. Polletinsekretarz Towarzystwa muzycznego. Publiczność zgromadziła się bardzo licznie, mimo że godzina południowa dla koncertów nie jest u nas zwyczajną.

Widać z tąd jak coraz większe kółka biorą udział w usiłowaniach towarzystwa postawienia muzyki na tym stopniu, na którym stoi za granicą, co oddziałać musi i na Towarzystwo same. Jakoż postęp we wszystkim jest widoczny; koncerta towarzystwa muzycznego wyborem sztuk i wykonaniem przewodniczą wszystkim innym dawanym we Lwowie, krzewią coraz więcej estytyczne pojęcie muzyki, a każdy wewnętrzne zadowolenie wynosi z sali koncertowej.

Rozmaitość.

* W przeszłą Sobotę odbyła się musztra dwóch Brygad z bateriami artylerii Jenerałów: Henigsteina i Herdego za rogatkami Janowskiemi. Jenerał kawaleryi hrabia Clam-Gallas był przytomny.

* W niedzielę odprawiło się nabożeństwo w kościele katedralnym jako w rocznicę koronacyi Najświętszej Maryi Panny. Niebawem będzie temu 100 lat jak obraz z sukienką darował Papież tutejszej katedrze, zostającej wtedy pod zarządem Ks. Jana Sulikowskiego. Celebrował JW. Ksiądz Infułat Ostrawski a pod kierunkiem p. Piotrowskiego wykonaną została z wzmocnioną Orkiestrą Msza Szunabla.

* Nasz najdostojniejszy Arcyksiąże w poniedziałek zajął swoje letnie pomieszkanie w willi Skrzyńskiego. Niema tego dnia jeżli pogoda sprzyja ażeby dodnia rano albo konno albo w swoim faetonie sam kierując końmi, niebył spacerem na górze Franciszka Józefa.

* Kościółek św. Jana pod górą Franciszka Józefa jeden z najdawniejszych kościołów, za staraniem JW. Księdza Kustosza kapituły Jasińskiego restaurują zewnątrz i wewnątrz i już na św. Jana Chrzciciela otworzony zostanie przy wielkiej celebrze. Ta restauracia nastąpiła ze składek obywateli miejskich i towarzystwa zeszłego roku zawiązanego: kelnerów. Znakomita dama maluje obraz do wielkiego ołtarza olejno św. Jana Chrzciciela.

* Jutro wykonaną będzie w kościele archikatedralnymMsza wielka utworu p. Zimmermana drugiego dyrektora orkiestry teatralnej tutejszej.

* Wczoraj podczas baletu w teatrze rozpowiadano wiadomość powziętą od dyrektora p. Glögla, iż Pepita z pewnością przybędzie do Lwowa.

Przyjechali od dnia 14. do 15. Maja. do Lwowa.

JEx. hr. Szlik, c. k. komendant armii i jenerał jazdy z Krakowa. Mieczysław hr. Borkowski, z Mielnicy. Edward hr. Pikler szambelan z Krakowa. Włodzimierz hr. Dzieduszycki z Niesłuchowa. Konstanty, br. Brunicki, z Stanisławowa. PP. Morawski Wiktor, z Raszkowa. Erazm Rozwadzki z Hładek. Maryan Madejski Dr. prawa, z Romanowa. Julian Jełowicki z Chudowiec. Maurycy Torosiewicz z Otrowa. Stanisław Bielecki z Rychcic. Stanisław Papara z Dalnicza. Grzegorz Sejlcewicz z Biliny.

Wyjechali od dnia 14. do 15. Maja ze Lwowa:

Hr. Mensdorf. c. k. jenerał-major, do Manasterzysk. Seweryn hr Badeni do Wiszkowiec. Artur hr. Gołuchowski do Krakowa. Karnicki hr. Kajetan, do Żółkwi. PP. Józef Kornberger, c. k. kapitan do Krakowa. Stanisław Rodkiewicz do Nowosiółki. Julian Wierzbicki do Kutkorza. Leon Kuczyński do Lubowa. Karol Barański do Chłopczyc. Michał Barański do Radłowic. Edward Dalke, do Stanisławowa. Stanisław Czerwiński, do Brzeżan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	128	Pożyczka 5% $79\frac{1}{2}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{5}{8}$	Akcye banku	986
Londyn za 1 funt szterl.,	12 28	Kolej północna	1855
Medyolan za 300 lirów	$126\frac{3}{4}$	Obl. ind.	73
Paryż za 300 franków .	$148\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	101
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa . .	84

Wczorajszy **Kurs Lwowski**	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	„	5	„	53	„	5	„	56
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	5	„	5	„	10
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	58	„	1	„	58
Talar pruski	„	1	„	53	„	1	„	55
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	24	„	1	„	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	92	„	5	„	93	„	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	„	35	„	72	„	55
5 proc. pożyczka narodowa		84	„	—	„	85	„	30

Lwów, 16. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 43 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. 15 kr. do 29 złr. 30 kr. Jeczmienia po24 złr. 45 kr do 25 złr. — kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 30 kr. do 22 złr. — kr. — Ziemniaków po 16 złr. 30 do 17 złr. 30 kr. Sag drzewa bukowego 55 złr — kr. do — złr. 8 kr. Sosnowego po 45 złr. — kr. do 47 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 53 kr. Centnar słomy 3 złr. 45 kr. do 4 złr. — kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Carl Jügel's Verlag *in Frankfurt a. Main*

empfiehlt zum bevorstehenden Schul-Semester die bereits in mehreren Auflagen bei ihm erschienenen,

nach Dr. H. G. Ollendorff's in Paris

neuer Methode, in sechs Monaten eine Sprache lesen schreiben und sprechen zu lernen,

von anerkannt tüchtigen Grammatikern

NEU VERFASSTEN LEHRBÜCHER

in erster berechtigter Originalbearbeitung

Nämlich:

1) die sechste Auflage der **Französischen Grammatik**, bearbeitet von P. Gands.
2) die fünfte Auflage der **Englischen Grammatik**, von demselben.
3) die dritte Auflage der **Italienischen Grammatik**, von Professor Frühauf.
4) die **Spanische Grammatik**, von Fr. Funck.
5) die **Holländische Grammatik**, von J. Gambs.
6) die **Russische Grammatik**, von M. Joel.

(Eine Polnische Grammatik ist unter der Presse).

Ausserdem gibt es nach derselben Methode:

a) für **Franzosen:** 1) eine Grammaire allemande, 2) eine Grammaire anglaise, 3) eine Grammaire italienne;
b) für **Engländer:** 1) eine German grammar, 2) eine French grammar, 3) eine Italian grammar;
c) für **Italiener:** 1) eine Grammatica tedesca, 2) eine Grammatica francese, 3) eine Grammatica inglese.

Diese sämtlichen Grammatiken nebst dazu gehörigen Schlüsseln sind stets in allen Buchhandlungen vorräthig in Lemcerg, Stanisławów und Tarnów bei

Joh. Milikowski.

(86 1—3)

Handel sukienny i towarów wełnianych

G. Ruszczyńskiego

we Lwowie przy ulicy dykasteryalnej Nr. 62 otrzymał

świeży transport towarów wiosennych i letnich:

materje na spodnie w najnowszym guście od 4 do 8 złr. Na twiny, surduty i płaszczyki. Perouvienne, Brasile, Draps d'été, Parisienne, Coating, Toskingi i Sukna w różnych kolorach, kamizelki angielskie i Sukna (liberyjne) Koldry wełniane zwane sławuckie i wideńskie, które po najumiarkowańszej cenie szanownej Publiczności poleca. (1—6)

(98.)

Joanna Schumann (wdowa)

zawiadamia szanowną publiczność, iż fabryka maszyn i rolniczych narzędzi, we Lwowie pod Nr. 466 $\frac{4}{4}$ istniejąca za życia jej męża

FRANCISZKA SCHUMANNA,

żadnej nieuległa zmianie, i jak dawniej tak i nadal z tą samą starannością i pilnośią wszystkie polecenia uskutecznieć będzie, i wszelkim żądaniom z największa dokładnością odpowie, a ręcząc za najlepszą robotę, o łaskawe względy uprasza. (94. 1—3)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**